



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

SONETY DANTEGO

w przekładzie Felicyana.

XLIX.

Raz do mnie przyszło blade zasmucenie,
Mówiąc:—znaj biedny! doli twej odmiane—
A szły, w orszaku jego, zapłakane
Łkających tłumy, biedne nieskończenie.

Więc kiedy trwożny w barwie lic się mienie:
Zkąd to i jaki cios w mą pierś dostanę?
Patrzę—w tem Amor, w sercu mając ranę,
Idzie, pochodni kłoniąc w dół płomienie.

W żałobnej szacie był, a lży obficie
Z oczu spuszczonej lejąc zcicha kwili,
Więc pytam, skoro do mnie się zbliżyli

— Jakiż to smutny obrzęd, obchodzicie?
A on mi łkając:—Wiedz to: że w tej chwili
Nas obu pani żegna ziemskie życie?

ŻYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Charakterystykę prawdziwie szlachetnego człowieka chrześcijanina: „a Christian gentleman,” określa Smiles przez przymioty, które S-ty Paweł w liście do Koryntyan czyni warunkami prawdziwej miłości bliźnich.—Miłość jest cierpliwa, miłość jest łagodna, miłość nie zazdrości, miłość nie wynosi się nad innych... Ten, który postępuje w duchu tego apostołskiego nakazu miłości bratniej, rozwija w postępowaniu swoim najwyższe formy szlachetności, bo prawdziwe uszlachetnienie charakteru zstępuje w głąb człowieka tylko przez miłość ludzi, pojętą pochrześcijańsku, i gdyby taki duch panował powszechnie, nie byłoby na świecie grubiańskiego gburą; najprostszy wyrobnik nie miałby pospolitego, niskiego na rzeczy poglądu.

Pogodne usposobienie umysłu jest najniezawodniejszą podstawą miłości, wdziękiem tak u młodych, jak i starszych ludzi. Jest ono wielkim przymiotem tego, który je posiada, zdobi lepiej, niż dyamenty i rubiny w złoto oprawne. Nie kosztuje ono nic, a jest dobrem nieopłacanym, ponieważ upiększa życie tego kto je posiada, i rozlewa błogosławieństwo swoje na innych. Człowiek z pogodnym usposobieniem ducha, patrzy na ludzi z ich najlepszej strony, nie dochodzi skrytych pobudek ich działania i nie bywa surowym w sądzie o nich; w rozmowie porusza

tylko przedmioty przyjemne, zostawiając na boku błędy i niedobory natury ludzkiej. Ma dla ludzi dobre słowo, pobudza też dobre myśli i wogóle uprzyjemnia stosunki towarzyskie. Pogoda umysłu jest jakoby urodą umysłu, i jak uroda ciała, podbija, pociąga ludzi do siebie a nie starzeje się z wiekiem, bo nic nie może być przyjemniejszego nad pogodny wyraz sędziwego oblicza.

Szkoda, że w życiu ludzi i narodów pogoda umysłu nie może zawsze panować, bo są okoliczności i momenta, w których musiałaby być lekomyślnością lub brakiem serca, i dlatego też położenia takie nazywają się nieszczęśliwymi, bo odbierają nam możliwość szczęśliwego używania życia—odbierają nam szczęście. Salomon powiedział, że wesołe serce upiększa nas, i dalej, że „wesołe serce, jest jakoby dobre lekarstwo.” Pogodne usposobienie, jest niezbędnie potrzebnem, aby życie nasze rozwijało się pomyślnie i w wielu razach jest ono źródłem powodzenia. Trzeba utrzymywać umysł w pewnym stanie elastyczności, aby odpędzał od siebie przywidzenia i zwyciężał trudności, związane z wielkimi przedsięwzięciami. Pogoda ducha oznacza zadowolony umysł, czyste serce i dobre, kochające usposobienie względem ludzi. Oznacza też niewyniosłość i ciepło serca, wspaniałomyślne ocenianie innych a skromne o sobie mniemanie. Dobro pełni się, nietyle przez wielkie dobre czyny, ile przez codzienną, cywilizowaną słodycz w obchodzeniu się z ludźmi, spokojne cnoty codziennego życia: nastrój umysłu łagodny, dobry humor i mniej, lub więcej sympatyczne usposobienie względem krewnych, przyjaciół—otoczenia naszego. Drobne strumyki, użyteczniejsze są od wielkich, wspaniałych katarakt; płyną wśród pól i łąk w spokojnej piękności i użyźniają je tak, jak codzienne postępy nasze życie.

Sympatya jest wśród spraw ludzkich powszechnym odczynnikiem: rozpuszcza wszelkie stwar-

dnienia, skamieniałość, stężalość wszelką, i nie się stać nie może bez jej pomocy. Nikt nie zdoła się inaczej na tolerancję i wrodzone zdolności człowieka układają się w wzorach swoich według tego, jaką jest w nas siła sympatycznego pociągu. Człowiek, niemający tego w naturze swojej, daremnie pragnąłby stworzyć sobie lub podnieść charakter chrześcijanina. Mnóstwo ludzi dąży ustawicznie z góry na dół, lub z dołu pod górę po wąskiej kładce własnego interesu i zadowolenia, przemysłowi o własnych zasługach lub brakach, nie zwróciwszy się nigdy czynem lub uczuciem sympatii ku innym, którzy przecież w imię naturalnego związku ludzkości, mają do tego prawo. I ta wąskość drogi życia więzi ich, przykuwa do mierności, bo niema wyższych polotów ducha, wyższych, szerszych traktów istnienia bez gorętszego zapалу uczuć, bez porywów, które zeń powstają. Zasklepienie się w bigoteryi, twarda surowość w sądzie o ludziach—pessimizm, wszystko to rodzi się w nas z braku sympatycznego odczuwania ogólnoludzkich potrzeb. Cały gmach moralności, essencya chrystyanizmu—to sympatya wiążąca człowieka z człowiekiem. „Kochajcie jedni drugich...” proste to słowa, a jednak zawiera się w nich cała ta ewangelia, przez którą świat się odnowił.

Charakter prawdziwie szlachetnego człowieka ma w sobie podniosłość dumną, nakazaną mu przez pojęcie moralności i uczucie godności osobistej. Nie zaciąga on długów, których płacić nie może, i wstrętną mu jest rzecz zadłużać się, zwłaszcza na zbytki, stroje, na używanie—często u ludzi uboższych, niż on sam, u ludzi na chleb pracujących. Gdy tak się stanie, znika już człowiek szlachetny, człowiek ze sfery ludzi wyższych, a zostaje tylko jego karykatura, ktoś przebrany zań w strój pożyczany, w blaski fałszywe. Takie udawanie tego, czem nie jesteśmy, jest to fałszerstwo, a jakkolwiek się mówi, że fałsz jest holdem składanym jakiejś idei, lub cnocie, której nam braknie, upokarzający to przecież i nędzny sposób czczenia tego, co kłamiemy jedynie.

Szlachetni ludzie natychmiast na sobie się poznają. Spojrzą sobie w oczy i podają sobie rękę. Instynktownie się odgadują i oceniają wzajemnie. Szlachetny człowiek jest przede wszystkim dobrym, jest łagodnym i miłosiernym, nawet dla psa, lecz ten, który szlachetnego tylko udaje, nie ma serca nawet dla rodziny własnej. Szlachetny, jest naturalnie delikatnym, jest wpaniałomyślnym, lecz nie tylko w hojności pieniężnej, bo pieniądze, dawany rozrzutnie, robi więcej złego, niż dobrego. Szlachetny człowiek stara się być w datkach swoich roztropnym i nie błędzi, dając.

Prawdziwa wielkość człowieka zasadza się na świadomym sobie zamiarze uczciwego życia. Opiera się to na sprawiedliwym ocenianiu postępów swoich, na częstem obrachunku z sumieniem, na niewzruszonym posłuszeństwie dla zasady, którą uznał za moralne prawo swoje. Doświadczenie uczy, że ludzie stają się takimi, jakimi czynią się sami. Każdy człowiek wybija sam na sobie stempel wartości swojej, jest małym lub wielkim według woli własnej. Jeżeli staramy się żyć uczciwie, pełnić rzeczy dobre, stać wiernie przy zasadzie obranej—powoli dociągamy zamierzonego celu, i to, co było kiedyś trudnem, staje się z wolna łatwem i coraz, coraz łatwiejszem. Pracowitość czynna, łagodność, dobrotliwość, wstrzemięźliwość wzrasta w nas przez praktykę i co było najpierw wysiłkiem, następnie przychodzi nam naturalną drogą skłonności, wyrobionej w nas tak, że człowiek czyni się sam wspaniałomyślnym, sprawiedliwym, sympatycznym dla ludzi i dostojnym—sam czyni się cywilizowanym, grzecznym, powściągliwym i szlachetnie ukladnym.

Człowiek prawdziwie szlachetny daje się poznać przez zmysł ściśle strzeżonych praw honoru. Przede wszystkim nie zmią się on nigdy z prawdą, prawym jest w mowie i czynie—prawym jest nie tylko wobec świata, ale i w zakrytych, niewidzialnych dla nikogo postępkach. Prawdziwość jest moralnym człowieka transparentem; szlachetny nigdy nie przyrzeka nic, czego dokonać nie może. Wellington twierdził du-

mie, że prawda jest najwyższem prawem angielskiego oficera i że nigdy nie złamie on danego słowa, bo kłamstwo czy to w słowach, czy w uczynkach, jest w oczach jego ohydą i gotów jest raczej narazić się na wszystko, niż szukać ocalenia na drodze fałszu: „Le bon sang ne peut mentir...” twierdzi przysłowie francuskie.

Powściągliwość w wykonywaniu władzy jest oznaką rzeczywiście szlachetnego człowieka. Nie użyje on nigdy na złe przewagi swej nad innymi, nie uciśnie nigdy tych, którzy mu są podwładni. Jest to probierczym kamieniem charakteru ludzi szlachetnych i nieszlachetnych, jak umieją pisać wyższość swoją.

Ze względu na niższych człowiek wyższy kontroluje się ściśle i trzyma mocno na wodzy. Rzymianie jednym wyrazem *virtus* oznaczali: męskość, odwagę cnotę, bo niema cnoty bez silnego panowania nad nią. Egoistyczne pożądaniamuś być ujęte w karby, instynktu niskie precz odegnane, i z tej to przyczyny wstrzemięźliwość musi liczyć się do cnot, obowiązujących szlachetnego człowieka. Wstrzemięźliwość zachowuje nam jasność myśli, zdrowie ciała, czystość ducha, i ktoś też powiedział, że wstrzemięźliwość jest taką cnotą w szczęściu, jak hart ducha w niedoli.

Ale ten jest tylko w każdym położeniu prawdziwie szlachetnym, kto posiada i pełni te cnoty wszystkie z wdziękiem słodkim i łagodnym: ten, kto jest w powściągliwości cierpliwym, kto jest w uszanowaniu ludzi niechłodnym, kto okazuje sympatją smutnym, kto stoi po stronie cierpiących—kto jest takim dla wszystkich, jakim być powinien. Nikogo z zacnych nie stawiać niżej od innych—jest to nakaz święty:—szanuj każdego człowieka... dla każdego człowieka bądź uprzejmym. Uprzejmość dla ludzi to opłacony dług szacunku samego siebie. Dawaj ludziom tylko dobre słowa, a usłyszysz tylko echo słów dobrych. Święty Franciszek z Assizu słusznie też mówił. „Zali nie wiecie, że uprzejmość jest własnością samego Boga, który z wielkiej uprzejmości swojej zsyła deszcz i słońce tak dla sprawiedliwych, jak i dla niesprawiedliwych, bo prawdziwa uprzejmość jest siostrą miłosierdzia, które wygania nienawiść a przywołuje miłość.”

Człowiek szlachetny tak jest sprawiedliwym, jak i stałym. Czyni dobrze wszystko, co dobrze uczynionem być powinno. Czy zapomina, czy nosi w pamięci urazy swoje, nigdy nie staje się mściwym i pod tym względem idzie za przykładem Sokratesa, któremu, gdy ktoś powiedział:

—Bogdajbym umarł, jeżeli się nie pomszczę na tobie... on odparł łagodnie:—Bogdajbym umarł, jeżeli nie uczynię cię przyjacielem moim...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg.)

Człowiek nazwał to sobie fatalizmem, że obok rozumu i woli, a raczej mimo rozumu i woli, przypadek gra nieraz w życiu jego rolę wielką, wyrocznią! Gdyby w pewnym momencie tego życia poszedł on naprawo, zamiast nalewo: gdyby był wtedy kogoś nie spotkał, kogoś nie poznał, lub przeciwnie, gdyby nie zginęli się ze sobą na jakimś zakręcie drogi—gdyby jeden nie zwrócił kroków swoich w stronę przeciwną tej, w którą dążył drugi, —losy ich byłyby wzięły kierunek zgoła inny, poszły innym wcale torem. Gdyby!... gdyby!... Nieraz ludzie smutnie mówią to sobie, patrząc w tył na lata przeżyte i widząc, jaka to mała przyczyna pierwsza, której rozum

żaden nie mógł brać w rachunek, zaważyła ciężko na szali ich doli i niedoli! Może ten rozum i ta wola oskarżana mogłyby zaprotestować i powiedzieć coś o budowniczym, który z materjałów, jakie ma pod ręką, rozmaite budynki stawia, niemniej zdawaćby się mogło, że fatalność jakaś okrutna stanęła między tym ojcem i tym synem, którzy rozstali się ze sobą rozżaleni, chociaż tak mało już brakło do tego, żeby ich pogodził ten głos krwi, wobec którego, gdy się raz odezwie, a szczerze, a prawdziwie, milkną wszelkie urazy, mięknie duma wszelka.

Postanowiło tak uczucie, chciał tego rozum i serce, ale przypadek zrzucił, że zabrakło im na to jednej chwili czasu: takiej chwili, jakich wiele—setki całe przechodzą każdemu człowiekowi bez żadnego nabytku i bez straty żadnej, luźno, tak ot jak ziarnka piasku wysypującego się z klepsydry, która drugostronnie napełnia się niemi. Gdy powóz p. Andrzeja Starowiejskiego wjeżdżał do Warszawy przez rogatki jerozolimskie, z Warszawy wyjeżdżały przez most ku Pradze półkoszki małe, zaprzężone w jednego konia: wasażek, na którym siedział młodzieniec, wyglądający na cząstkowego szlachcica, lub mieszczanina z małego miasteczka—Stanisław ubrany w szaraczkową kapotkę i mający w siedzeniu poza sobą kufereczek nieduży. Gdy ze zjazdu na most miał wjechać, przystanął i obejrzał się w tył poza siebie jakgdyby ktoś nań zawołał—obejrzał się na miasto, popatrzył na wieże kościołów i panoramę piętrzących się kamienic, lecz widać tego tylko chciał: ustalonego sobie w pamięci wspomnienia ostatniej tu już chwili, bo wkrótce wstrząśniętymi nagle lejcami konia po grzbiecie uderzył i szybko ruszył z miejsca.

P. Andrzej spotkał się z Rębskim, który go znał, niemal przede drzwiami mieszkania Stanisława, w bramie kamienicy. Z powozu właśnie wysiadał, i na pierwszym stopniu wschodów nogę postawił, gdy tamten, schodzący z góry, spostrzegł go.—A... zawołał—spóźnił się szanowny pan tak, jak i ja. Stanisław miał jechać pociągiem wieczornym, kurjerem, i nie pojmując dlaczego zmienił zamiar? Pojechał już...

Pojechał już!... P. Andrzej w pierwszej chwili nic nie rozumiał i doznał tylko jakiegoś bolesnego olśnienia. Z Jakóbem jeszcze się nie widział, bo stary przybywszy do miasteczka w nocy, wprosił się tam na nocleg i zmęczony, skołatany ciężko, nieśpieszący się też z nowiną swą smutną, nie zerwał się tak rano, aby był mógł przybyciem swoim do Starej Wsi wyjazd p. Andrzeja uprzedzić. Stanisław powiedział mu przy pożegnaniu, że zaraz w kilka godzin po nim wyjedzie; widział na własne oczy nieszczesny paszport już zwirowany i ani pomyślał, aby jakiś pośpiech z jego strony mógł już cokolwiek na zmianę rzeczy wpłynąć. Do kościoła jeszcze w miasteczko poszedł, wymodlił się, wyskarżył Bogu, jak to ludzie sami sobie życie psują, szczęście zabijają, i dopiero potem wszystkim powłókl się powoli drogą przez las.

—Jak ja to starszemu panu powiem—myślał ciężko sfrasowany—jak ja go niby mieczem katowskim w samo serce pchnę?

A tymczasem owo pchnięcie okrutne zostało wymierzonym w dziwnie bolesny sposób, bo nagle i niespodziewanie, w chwili właśnie, gdy biedny ojciec, jakoby mający już syna przed sobą, myślał, jak się Stanisław jego widokiem, jego niespodziewanem przybyciem wzruszy, zadziwi—jak się z miejsca zerwie, gdy ujrzy wchodzącego! Miłość do syna nigdy w ojcowskim tem sercu nie wygasła. Karał, bo chciał poprawy i czynił to zasady, z silnego przekonania, że rodzice, którzy synowi na marnotrawne hulanie bezkarnie pozwolą, są po połowie tak winni, jak i on—są słabi i z obydwalskiej cnoty obrani. Mówił to zawsze i surowo ojcom wszystkim wtedy jeszcze, gdy się nie spodziewał, aby sam był kiedyś w tem położeniu ciężkiem surowego łamania się ze Stanisławem, który taką piękną i niepospolitą—taką szlachetną naturę zapowiadał.

Przyśiągł też sobie teraz, że od zasady, od obowiązku nie odstąpi ani na jotę, ale ostatnie znalezienie się Stanisława: ten jego w ostatniej chwili rozstania pocałunek gorący, który czuł

jeszcze na ręce, silnie mu na serce uderzył. — Kocha mnie... — mówił sobie człowiek ten samotny, chodząc po odjeździe Stanisława po pokoju pustego swego domu — ma uczucie, więc jeszcze nie jest ostatecznie zepsuty i jest coś, za co go ojcowiska ręka uchwycić może i wyciągnąć z tej toni nieszczęśliwej...

Jadąc układał sobie, że go zaraz na wieś ze sobą zabierze, że będzie dokładał możliwych starań, aby go z Jadwigą zbliżyć, i oczy wilżyły mu się na myśl szczęścia, gdyby ta piękna, młoda, kochająca się para ogrzała, rozjaśniła kiedy smutną jesień jego życia. — A... myślał — jest dla człowieka druga wiosna życia, gdy ją przeżywa w istocie, wyszłej z jego krwi i ciała — w dziecku swoim...

I to wkrótce po kołysaniu się marzeniami takimi, w chwili, gdy niemal rękę wyciągał, aby to, jako rzeczywistość, ująć, otrzymał ten cios — usłyszał o Stanisławie, którego jakgdyby niemal już widział przed sobą: — Pojechał...

— Gdzie?

Zatrzymał się na tym pierwszym wschodzie, gdzie go ta nowina spotkała i przez moment był jak ogłuszony, aż Rębski pomiarkował, że tu jest coś niezwykłego. — Pozwoli szanowny pan, że go na górę poprowadzę — rzekł. — Pomieszkanko puste jest, więc zamknięte, ja mam klucze od niego.

— A... pan klucze masz... — powtórzył p. Andrzej. Choć stanowczy zawsze, zimnej krwi, stracił teraz ten przymiot szacowny i prawie machinalnie szedł po schodach dlatego, że był przed nim...

Przecież, gdy się już u drzwi znalazł, zatrzymał się. — Gdzie pojechał? — zapytał Rębskiego głosem spokojnym, który był przecież dziwnie suchym i jakgdyby z przymusem wydobywał się z gardła.

Ten spojrział na niego wzrokiem naiwnego zadziwienia. — Szanowny pan nie wie tego?

— A ja sądziłem, że on po to na wieś jeździł, aby się opowiedzieć panu... Z początku myślałem, że to jakiś zawód miłosny, bo Stanisław coś mi o tem natrącił, o jakimś poznanym i zaraz straconym ideale kobiety; ale gdy potem chciał tak zaraz, tak pilno jechać, tak nagle prosił o wyrobienie paszportu, przysłała mi do głowy myśl inna, i zląkłem się. Zakreśliłem się tak, że we dwadzieścia cztery godzin jechać mógł...

Chciał się tłumaczyć z przejęcia kancelaryi Stanisława, ale p. Andrzej nie dopuścił do tego.

— Dorosły syn powinien mieć wolną wolę postępów swoich — rzekł, przerywając mówić. — Uważam z góry, że wszystko, co Stanisław zrobił, zrobił z punktu swego widzenia dobrze — rzekł spokojnie.

— Tylko szanowny pan nie spodziewał się, aby wyjechał tak prędko... — rzekł Rębski, który psychologiem nie był i wcale nie miarkował, co się działo w sercu ojca, patrzącego na puste kąty, z których wyniósł się tak nagle syn jego jedyny.

— Gdzie pojechał? — powtórzył p. Andrzej krótko.

— Paszport wyrobiłem do Francji, ale wspominał coś o Algierze. Zawsze był wielki romantyk i, jeżeli jeszcze przyłączyło się tu coś sprawy miłosnej, to gotów tam się puścić.

— Ale to nic złego... W ostatnich czasach mizernie wyglądał, a wielu lekarzy uważa teraz Algier za najlepszą stacją klimatyczną. Od czasu przekopania Kanału Suezkiego Egipt stracił pono na reputacji...

Pan Andrzej nie dał mu dokończyć. — Dobrze zrobił, skoro zrobił, jak chciał... — rzekł.

W pomieszkaniu mimo wszelkich zaprosin Rębskiego zostać nie chciał i zabrał się zaraz do wyjścia. — Weź pan klucze, jakby mnie tu wcale nie było — rzekł — jadę zaraz...

— Jak to? na całą noc i tak bez odpoczynku? — zawołał p. Walery. Pokazywał, że pościel Stanisława jest jeszcze na miejscu nieruszona przez nikogo, że zatem nocleg byłby tu bardzo wygodny, ale się spotkał ze stanowczą odmową. — Nie mam już nic do roboty w Warszawie — odpowiedział mu Starowiejski. — Nocą jechać lubię...

Stanisław miał słuszość twierdząc, że nie każdy może mieć taką siłę, taką moc panowania nad sobą, jak ten jego ojciec z szerokim czołem. Rębski ani się domyślał dramatu, który się pod jego oczyma rozegrał i żegnając p. Andrzeja, gdy razem ze schodów zeszli, życzył mu szczęśliwej drogi. — Już to majowe noce zawsze piękne — dodał — a teraz właśnie księżyc świeci...

Pożegnali się przy drzwiczkach powozu, lecz stangret szeroko otworzył oczy, gdy mu pan zadysponował, aby jechał z powrotem do rogatek. — W Raszynie popasujemy — objaśnił zadziwionego.

— Ale proszę jaśnie pana...

Nietylko nie mogło mu się pomieścić w głowie, aby ktoś jechał do Warszawy na pół godziny, ale miał w kieszeni długi spis sprawunków, które gospodyni kazała mu koniecznie zrobić, przecież nie dokończył protestacyi, bo spostrzegł, że pan jest dziwnie biały.

Miał lepsze oczy od Rębskiego, który tego nie dostrzegł, bo śpieszył się do domu, gdzie spodziewał się klienta, będącego grubą rybą. Dla miłości Stanisława, poświęcił jego wizytę, ale kazał nietylko dependentowi, lecz i żonie przeprosić go za to, że wyjść musiał w pilnym interesie i dopiero jutro rano widzieć się z nią może. Gdy przecież rzeczy ułożyły się inaczej, chciał z tego skorzystać, bo ludzie niebogaci, obracający w deptaku życia ciężkie żarna codziennej pracy na chleb rodziny, stają się z wolna tak obojętnymi na wiele rzeczy, że niedobrze patrzą i niewiele widzą w koło siebie.

Poszedł więc w swoją stronę krokiem śpiesznym, a powóz wytoczył się z wolna z bramy na bruk miejski i zwrócił tam, z kąd przybywał. P. Andrzej, który stawał się coraz bledszym w miarę tego, jak nie potrzebował wysilać się dla oczu ludzkich, i pozwalał krwi spokojnie zbiegać się do serca, rzekł sobie z rzadką u niego melancholią: — Tak... noc będzie księżycowa i zaleje świat srebrzystą luną...

Kiedy powóz przebywał Plac Teatralny, wózek Stanisława przebrał się już poza Pragę na szosę, a on zwolnił trochę koniowi. — Teraz już pomału, mój gniady — rzekł. — Nie mamy się czego śpieszyć.

— Ha! — dodał — wydostałem się już nareszcie z ciżby, z tłoku — wydostałem się na swobodę.

— Nic nie zostało, coby mnie plakało — szepnął z goryczą, ale potem podniósł głowę. — Otrząsnę ja się, otrząsnę się z tego smutku, któryby mnie prędko zjadł — zawołał w sobie, zapalając się...

— Bajka o Anteuszu musi się sprawdzić na mnie... Dotknę się ziemi, stanę na gruncie starym i wstąpią we mnie siły nowe. Chcę pracować i będę pracować, czuję, że jeszcze mogę, że jeszcze nie zapóźno... Tam, gdzie mnie ludzie znają, byłoby mi trudno. W nas wszystkich, synach szlacheckich, pokutuje fałszywy wstyd, który łamie największe postanowienia, najlepsze nasze chęci, i dlatego uciekam w świat... w świat... bo kto wie, czyby mnie nie złapał kiedy w chwili słabości tej nędznej, której każdy z nas ulega lub uleść może nagle. Buta to, pycha stara... która nam w krew weszła. Nieopatrzni, rozrzutni, szaleni, nie umiemy potem zawrócić, nawet już wtedy, gdy nas te szale odstąpią, a to przez lichą dumę głównie. Wstyd nam być ubogimi, wstyd nam pozbyć się tej pańskości, dla której strzępek wyszarzanych pograżamy się coraz, coraz głębiej w dół — zapadamy się w ziemię! Ale ja nie chcę skończyć tak nędznie, tak nikczemuie... Jakaś kropla krwi rycerskiej jest jeszcze we mnie, i ta kolacze mi dotąd w sercu. Chcę żyć! chcę żyć...

Zdjął kapelusz, zapuścił palce w jasne swe włosy i odgarnął je z czoła, które mu ochłodził lekki wietrzyk wschodni, wiać poczynający od chwili zachodu słońca. — Chcę żyć! — powtórzył.

Uwoził jeszcze z tej ruiny swojej trochę pieniędzy i tak, jak to powiedział temu uczciwemu krawcowi ze Starego Miasta, który szył mocne suknie dla ludzi pracujących, postanowił sobie zdobyć kawałek ziemi i sam ją orząc, choćby sochą prostą, zmęźnić w tej pracy i zrzucając z siebie człowieka starego, podnieść się innym, nowym — lepszym niż tamten dawny, stanąć na zaorany przez siebie zagonie, który musi mu

rodzić żniwo kłosów pełnych, bo go znojem swoim podleje. Wierzył w to silnie, że tak być może, wierzył i w to, że trud koło ziemi jest zdrowy i ożywczy, że wydobywają się z jej łona emanacje ukrzepiające, z którymi wchodzi w pierś ludzka siła i hart. — Chcę się odszlachcić... chcę wrócić do starej tradycyi kmieci — mówił sobie i byłby to prawie człowiek szczęśliwy, bo człowiek, który się spodziewał dokonania rzeczy dobrej, który miał w piersi miłość i wiarę w tę rzecz dobrą, gdyby nie jadł mu serca żal zerwania z ojcem.

— On ani wie, jak ja go kocham — szeptał sobie, a miękkość dawna zaczynała mu przysięgą wstępować w serce, zaczynała go rozbierać tak, że mógłby być z tęsknotą żalowaną wyciągać ręce w stronę, gdzie wyobrażał sobie tego ojca — ani on wie!... Ach! on mocny, odepchnął słabego, bo nie widział w nim takiej podpory dla starości swojej, dla planów swoich, o jakiej marzył od dnia, gdy mu powiedziano: urodził ci się syn... Może przecież byłby mógł podeprzeć tę słabszą, niż on sam latorośl swoją, ale za surowy jest... Ha! niech utworzy sobie nowe szczęście, nową rodzinę... syn pierwotny przyjdzie przecież kiedyś, by powiedzieć mu. — Patrz! i ja przecież nie jestem zupełnie lichy i nędzny. Upadłem, ale dźwignąć się umiałem...

W pierwszym rozdrażnieniu Stanisław myślał zginać dla ojca nazawsze, ale była krótka ta chwila zła. Teraz mówił sobie: — Wrócę, gdy będę mógł stanąć przed nim spokojnie i nie schylając czoła. Ale chwili tej nie stawiał sobie blisko i nie jeden rok, nie dwa, nawet nie trzy, dzieliły go, w wyobraźni wzruszonej od tego dnia, w którym powiedziano jego ojcu, że przybył ktoś, gość jakiś nieznajomy, który chce się z nim widzieć.

Gdy teraz, jadąc stępą, zmrokiem już ciemnym i okolicą zupełnie mu nieznaną: płaską, lesistą i niewesołą, dumiał o tej chwili, na lica wybił mu się nagle rumieniec, bo wyobraźnia ukazała mu obok postaci ojca, postać kobiecą, wysoką, ciemnowłosą, z greckim czołem i szafirowymi oczyma, postać Jadwigi, i coś się w nim szarpnęło tak żywo, że mimo woli popędził konia, jakgdyby zapragnął uciec prędzej w dal przed tem widzeniem, które go dręczyło, które sięgnęło mu do serca i zatargało niemi! Ale powoli uspokoił się; wzruszenie, które możnaby nazwać zazdrośnem, opadło, stłumione siłą woli, wołającej nań surowo: — Tu ci niewolno wkraczać... tu nie przedmiot dla sennych widzeń twoich.

Ale po chwili pewnej i koń zwolnił kroku i jego znów obstały mary śnione na jawie, a myśl uparta wracała do jednego przedmiotu, do tego tryumfu, który mieć musi jego życie — do momentu, gdy stanie przed ojcem i powie mu: — Patrz, ojcie, nie jestem ja przecież nic niewartym człowiekiem, próżniakiem bez godności, pasażerem, który się karmi tylko owocem pracy innych! I moje życie ma zarobek jakiś... zarobek uczciwego człowieka, którego czoło uznożyło się nieraz, który nieraz jęknął boleśnie w chwili ciężkiej, ale który nie upadł jednak tak w kałużę błotnistą, w dół ten głęboki, z którego już się nie powstaje.

Lica mu teraz gorzały rumieńcem ognistym. Może on będzie wtedy uboższym niż jest dziś, może lokaj każe mu czekać w przedpokoju, w ganku nawet, ale mimo to — tego był pewnym — nim to będzie mógł zawsze stać przed ojcem prosto, spokojnie i powiedzieć mu: — Ojciec...

Księżyc teraz podniósł się na niebo, bo był to czas blizki pełni; powietrze całe przejęło się jego światłością srebrną i Stanisław jakoś łagodniał pod wpływem tego wdzięcznego oświetlenia, które zmieniło i charakter krajobrazu. Okolica z posępnej stała się tylko jakąś senną i smętną — rozmarzoną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWE SZTUKI DRAMATYCZNE

w Teatrach Paryżkich.

(Nowiny Paryżkie w N. 6.—dokończenie).

Ale tego samego poranku—bo p. Pailleron trzyma się ściśle przepisów Arystotelesa co do jedności czasu—pani hrabina, która pragnie poznać się raz nazawsze starego zapilego Polaka, odbiera od swego notaryusza wezwanie; rzecz pilna i ważna—Boże! chyba śmierć Wojskiego! Spiesz się na wezwanie, a tymczasem stary nicpoń—zapomniałem go nazwać: margrabia Max de Simiers, postrzega się nagle, że ten podłotek, ta myszka, którą uważał za nic, jest to śliczna, rozumna panienka, i tak się urządza, że w ten jeden dzień, nietylko się rozkochuje w myśle, ale nawet, w Kupidynem na spółkę, zyskuje jej serce. Może to trochę za nagle, ale w teatrze, gdzie wszystko jest złudzeniem, taka licencja jest wcale na czasie!

Kiedy więc pani hr. Wojska wraca wieczorem do domu, z sepulturą śmierci starego Polaka w kieszeni, marząc o małżeństwie z margrabią, znajduje tymczasem rzecz, jak to powiadają, po harapię i zostaje jej tylko połknąć tę gorzką pigułkę i zwracając się do gości powiedzieć: Odmój zięć! Ale roztropni Socysze i to nawet wymazali z uwagi na hałas, jaki sprawiał, właśnie w czasie pierwszej reprezentacji, sławny zięć Elizeum!

A cóż goście? To jakaś wdówka szukająca męża i wyemancypowana panna z tamsamym zamiarem. Zabawne są, dowcipne nawet, szczególnie panna, ale ich obecność w tej komedii, jeśli tu jest jaka komedia, ma jedynie tylko znaczenie akcesoryum scenicznego.

Dla czegoż więc tyle rozgłosu, tyle pochwał, tyle oklasków? Dlatego, że p. Pailleron, jest to jeden z tych rzadkich ludzi, którzy, mając fortunę, trzymają się pióra. Jego wieczory i obiady przy Quai de Voltaire—wieczory i obiady, na których artyści, pisarze, uczeni i nieuczeni, spotykają się przynajmniej raz w tydzień w poufnej kółku, gdzie pod cichym zarządem pani i wesołą uprzejmością pana domu, spędza się kilka godzin mile i przyjemnie, w zacisznej sali jadalnej, w wytwornym salonie, i w artystycznie urządzonej pracowni gospodarza, libacje te zyskały mu wielu przyjaciół; a gdy dodamy jeszcze, że trafił jako pisarz w najczulszą strunę Socysów z ulicy Richelieu'go, pojmujemy że mu się łatwo otwały drzwi Teatru Francuzkiego, Akademii Francuzkiej, i pobłażliwość krytyków z profesyji!... a publiczność?... Ja nie wiem, lecz przede mną już pobiegło wielu ciekawych!...

Innego rodzaju człowiekiem jest autor *Toski*, Wiktorin Sardou. To dramaturg ciałem i duszą; z nim dzieje się tożsamo, co niegdyś wyraził Voltaire jednym słowem, chociaż w innym sensie. W czasie próby nowej jakiej tragedii swojej Voltaire, dając rady artystom, zrobił uwagę aktorce grającej rolę głównej bohaterki, że była zanadto sztywną, zanadto zimną.

— Więcej życia, ognia i ruchu, moja pani!

— Ależ publiczność powie, że gram, jakbym miała dyabła za skórą (comme si j'avais le diable au corps).

— Właśnie tego potrzeba — odpowiedział na to Voltaire. Otóż i Sardou ma dyabła dramaturgii za skórą.

Nie szasta on frazesami, jak Pailleron, nie szuka czystości stylu, poprawności wyrażenia; u niego wszystko jest w akcji w ogniu, w ruchu. Mniej on może studiował serce ludzkie, w filozoficznym znaczeniu tego słowa, ale zrozumiał je lepiej od innych w zapasach z namietnością, a zrozumiał szczególnie to, czego chce i pragnie publiczność. To też, bez względu na układ i prowadzenie akcji w sztuce, bez względu na pomysł, można być z góry pewnym, że to technicznie ogniste, które wstrząsa publicznością, znajdzie się

zawsze, jak na zawołanie—i że tam, gdzie dla innego pisarza byłaby przyczyna niepowodzenia, albo upadku nawet, on się podniesie cało i zwyciężko...

Mamy tego świeży dowód.

La Tosca, jest to dramat pisany w stylu, jaki panował we Francji około 1830 roku, w najburzliwszej epoce poczynającego się romantyzmu. Rzecz dzieje się w Rzymie, na początku bieżącego stulecia, w czasie, kiedy po zwycięstwach Austriaków we Włoszech, z pomocą Rossyan, stronnictwo tak zwanych Neapolitańskich *San Fedistów*, z królową Maryą-Karoliną, Nelsonem, kawalerem Actonem i Lady Hamilton na czele, wywierało wszechmocne i okrutne prześladowanie przeciw wszystkiemu, co zbliża lub zdaleka wiązało się z Liberalnymi, to jest z partją francuską i Karbonarami. Samo już więc wywołanie na scenę takiego żywiołu teatralnego, jak: Włosi, Carbonari, San-Fedyści, przypomina sławnego Rinaldo - Rinaldini, i nastroja publiczność na wysoki ton starego melodramatu.

Mniejsza przecież o ten anachronizm; zobaczmy, że Sardou wprowadzi z tego tak dramatyczny efekt, iż publiczność zapomni o literackim anachronizmie, zapomni o Zoli, o Maupassant'cie, o „dokumentach“ i naturalizmie, a będzie przyklaskiwała ile sił stanie! A pytam się: czegoż więcej potrzeba dla sceny, dla autora i dla publiczności?

Główna bohaterka Floria Tosca, jest to sławna śpiewaczka rzymska, piękność nad pięknosciami, miłość, ogień, namietność wcielona. Kochankiem jej jest Mario Cavaradossi, urodzony z Francuzki wychowany w Paryżu, liberalny, nawpół Francuz, a więc podejrzany i szpiegowany przez San-Fedistów. Główna sprężyna akcji, główny agent policyi, człowiek wszechmocny w rękach San-Fedistów, jest to niejaki Scarpia, Neapolitańczyk, jak Greczyn przebiegły, okrutny, ale wyuzdany zarazem. Floria ma w nim skrytego wielbiciela swych wdzięków.

Sztuka rozpoczyna się w chwili, kiedy Napoleon ma zerwać pierwszy swój laur wszechświatowy na polach bitwy pod Marengo. Prześladowania w Rzymie dochodzą do swego kulminacyjnego punktu. Jeden z głównych Karbonarów, Cesare Angioletti, brat pięknej margrabin Attavanti, uwięziony w zamku S-go Anioła, cudem prawie wykrada się ze strasznej wieży.

Tu się rozpoczyna dramat. W kościele S-go Andrzeja w Rzymie, gdzie rodzina Attavanti ma swoją kaplicę i specjalny klucz od niej, pracuje malarz Caravadossi, oczekując właśnie przybycia Floryi. Nagle staje przed nim nieznany mu człowiek. Jest to Angioletti, zbiegły więzień, i zwierza mu się, iż szuka schronienia w kaplicy rodzinnej, gdzie mu siostra przygotowała kobiece szaty, co mu ułatwi dalszą ucieczkę. Mario chętnie obiecuje mu swą pomoc; przebranie zabiera krótką bardzo chwilę, poczem Cavaradossi zaprowadzi go do swojej willi za miastem, gdzie znajdzie pewne schronienie. W tej chwili słychać zbliżające się kroki ku drzwiom kościoła: to Floria. Angioletti zaledwie ma czas schronić się w kaplicy, kiedy Mario otwiera drzwi swej ukochanej.

Ale subtelne ucho Floryi dosłyszało szmer jakiegoś w kościele, serce kobiece przeczuło jakąś tajemnicę. A że zawsze podejrzewała Marya o pewne stosunki z piękną margrabiną Attavanti, robi mu więc drażliwe uwagi, i w tej chwili, co do podobieństwa margrabin z Magdaleną z fresku, który maluje właśnie Mario. Ale wszystko to da się złagodzić pieszczotą i słowem kochanka. Nagle zjawia się służąca Floryi i przynosi jej pilne wezwanie, od sławnego mistrza Paësiello oznajmujące jej, że jest wielki festyn u dworu, gdzie ma być odśpiewana jego kantata, w której główną rolę mistrz dla niej zostawił i czeka na nią z próbą.

Zaledwie Tosca opuściła kościół, słychać armatni wystrzał z Zamku S-go Anioła: to znany sygnał ucieczki więźnia, ucieczki więc Angioletti'ego. Niema ani chwili do stracenia. Przebranie ukończone, dwaj towarzysze ruszają w drogę. W ślad za nimi wpadają do kościoła zbirowie policyi, pod przewodnictwem Scarpia, i wprost się

rzucają do kaplicy Attavanti. Kaplica jest pusta, ale, niestety, zostały ślady: wachlarz, nożyczki i t. p. Scarpia zrozumiał wszystko: Mario musi być spółnikiem tajemnej ucieczki więźnia, po jego więc śladach należy szukać zbiega.

Akt drugi to jeszcze jakby prodom wielkiego dramatu, jakby owo opowiadanie przez starożytnych chóry o tem, co się ma spełnić wkrótce. Depesze od generała Melasa przyniosły wiadomość o odniesionym zwycięstwie pod Marengo. Dwór królowej Karoliny tryumfuje i festyn jest w całym swym blasku; przecież królowa czyni wyrzuty naczelnikowi policyi za jego słabą czujność i niedołęztwo w odszukaniu tak ważnego zbiega, jak Angioletti. Scarpia, tknięty do żywego, zbiera wszystkie swe siły. Mario, spółnik zbiega, jest kochankiem Toski—Tosca jest zazdrosna: ona mu więc wykryje całą tajemnicę, ale trzeba zręcznie tę rzecz prowadzić. Scarpia ma w ręku instrument, który zbudzi zazdrość: jest to wachlarz znaleziony w kaplicy, wachlarz z cyfrą margrabin Attavanti.

Tak się też staje wistocie: podejrzliwość Toski, obudzona widokiem Magdaleny i jej podobieństwa do margrabin, pewne pomieszanie Marya, wszystko to nabiera siły wobec nieszczęsnego wachlarza i zdradliwych insynuacji Scarpia. Właśnie w tej samej chwili, powtórna depesza Melasa oznajmuje, że ostatecznie bitwa pod Marengo została przegrana. Zamieszanie, popłoch, dwór opuszcza festyn, a Tosca zostaje w ręku Scarpia, który podsyca ciągle jej zazdrość.

Niepewna, chwiejąca się, przypomina sobie w tej chwili, że Mario uprzedził ją rzeczywiście, iż spędzi noc w swej willi za miastem. Dlaczego? Oni są tam—powiada przez zęby.—Gdzie?—pyta Scarpia.

— Ha! abys mnie zdradził. —Ja? To nie obchodzi policyi—zapewnia Scarpia. —Policya to ja!—woła Tosca i znika. Tego też pragnął Scarpia. Za jej śladem idąc, dowie się tajemnicy i odkryje zbiega!

Tak się też staje. Nikt tego schronienia nie zna prócz Floryi. Oszalała, tonąca w zazdrości, pewna, że złapie na uczynku niewiernego kochanka, zjawia się nagle w willi i, niestety, znajduje—ale jakże przerażającą prawdę! znajduje zbiega ukrytego. Policya przybiega w jej ślady. Żal, rozpacz niewczesna. Rozpoczyna się poszukiwanie, które w połowie tylko odkrywa tajemnicę. Mario jest w rękach policyi, Tosca przy nim, ale zbieg gdzie?

Widząc Scarpia, że Mario dobrowolnie tajemnicy nie zdradzi, szuka pomocy w słabości duszy kobiecej. Rozkazuje wziąć Marya na tortury; a kiedy nieszczęśliwa Tosca, słysząc jęki męczonego i widząc go wchodzącego wśród zbirów ze skrwawioną głową, traci ostatnie siły, Scarpia wydziera jej ostatnie słowa tajemnicy: *Studnia!* tam się ukrywa Angioletti. Stało się! ale Angioletti widząc, że jest odkryty, zażywa truciznę i policya znajduje tylko jego trupa. Wściekły Scarpia z zawiedzionej nadziei—Sprzątnijcie to wszystko! — woła na swych zbirów — Trupa na gnojowisko; żyjących na szubienicę! —i zasłania spada.

Czy mało wzruszeń? czy mało targania publiczności za nerwy? Ale to jeszcze nie koniec, to dopiero trzy akty. —A Sardou, idąc w ślady Shakespeare'a, gotuje nam jeszcze większe i straszniejsze sceny i wzruszenia.

Po straszliwej nocy, przedświt dnia następnego znajduje nas w Zamku S-go Anioła, gdzie biesiaduje samotny a rozpustny Scarpia, oczekując godziny przeznaczonej na stracenie Marya Caravadossi. Naraz przychodzi mu do głowy myśl wesoła: każe wprowadzić Toskę, a kiedy się zjawia nieszczęśliwa ofiara, okrutny policyusz podaje jej sposób uratowania kochanka, pod warunkiem, który Scarpia wyluszcza jej zresztą bez żadnej ogródki. Mario, zamiast pójść na szubienicę, będzie rozstrzelany na żart, bo karabiny będą nabite prochem tylko. Zabity wstanie więc zdrowo po chwili i znajdzie drogę do ucieczki; dla niej zaś list żelazny, podpisany naprzód, wolność i połączenie się.

Tosca zgadza się na wszystko, ale najpierw chce mieć ów list żelazny w ręku. Scarpia podpisuje i cyrograf wręcza jej bez żadnego waha-

nia się. — A teraz powiada — wyciągając ku niej ramiona — wypłata długul... — Oto ją masz! — woła z wściekłością Tosca, uderzając go w piersi nożem porwanym ze stołu. — Umieraj, okrutna bestyo! umieraj zrozpaczony, wściekły! umieraj! umieraj! umieraj!...

Tu pochylona nad umierającym Sara Bernhardt, przepraszam — Tosca, nie mówi, nie krzyczy, ale co do słowa wrzeszczy to słowo: Umieraj! po trzykroć... tak okropnym głosem, że przechodzi to wszelkie nasze pojęcie o sztuce deklamacji scenicznej...

Doszliliśmy do tego, że już, już jesteśmy na progu starożytnego cyrku — i że jutro może trzeba będzie naprawdę, aby uczynić zadość publiczności, sprawić piekielną wrzawę na scenie!

Jakkolwiek bądź, publiczność była i jest zachwycona, przerażona, ogłupiała, ale kontenta i z Sary, i z jej wrzasków, i z tego morderstwa... Tak wyexpedyowawszy Scarpia, Tosca poprawia sobie toaletę przed lustrem, stawia świecę i krucyfiks przed umarłym policyantem, naciąga rękawiczki o dwudziestu guzikach i... ale tu daje się słyszeć wypełniającą ręcznej broni. To egzekucja Marya spełniona! Tosca, otwierając drzwi w głębi widzi, że Scarpia skłamał raz jeszcze: Mario leży przed nią zabity. Niewiele myśląc, zrozpaczona, rzuca się sama w przepaść z wierzchołka wieży zamkowej.

Tak, zgładziwszy ze świata wszystkie osoby swego dramatu, p. Sardou musiał się wreszcie zatrzymać i skończyć. Spodziewam się, że czytelnicy moi będą mieli dostateczne wyobrażenie o tem, jaką jest ta nowa sztuka i jakich sposobów użył autor, aby zawładnąć publicznością... Pomimo to wszystko, jak powiedziałem wyżej, Sardou, jest to prawdziwy dramaturg! Gdy to mówię, nie idzie mi wcale o doskonałość pisarską, o stylizację, o dowcipne słówka, ale chodzi o to, aby porwać i unieść słuchaczy, unieść w takie przestworza, na jakie się puszczać nie ma wcale ochoty! A jeśli to jest spełnione, resztę, z punktu widzenia teatralnego można, uważać jako dodatki i małej wartości szczegóły dla sceny...

Tosca sprawia, jak tu powiadają, *furore*! Sara Bernhardt zadziwia, uliczników nawet, swoją tragiczną chrypką. I oto teatr codziennie jest przepelniony, i Francuzi i nie Francuzi wychodzą szczęśliwi, zadowoleni, tak, że nawet przestają politykować!...

KRAJ ASZANTYÓW.

(Dokończenie.)

Francuzki podróżnik zrozumiał odrazu wielką wagę tej przyjaźni murzyńskiego księcia. Stróżę wyznaczony do pilnowania więźnia, nie chcąc sobie narazić młodego księcia, którego wpływ na królewskim dworze był wielkim, złągodnieli dlań i, chociaż pod strażą, mógł jednakże przechadzać się z księciem i rozmawiać, a nie tracił chwil tych napróżno, i korzystając z dobroci młodzieńca, uczył się równocześnie poangielsku i języka Aszantyów.

Młody książę mówił mu często, że gdyby tylko mógł wyjednać pozwolenie wprowadzenia Bonnat'a do Kumassi, monarcha, który był jego wujem, oceniłby należycie rozum i talenta jego: a wtedy opłakane położenie więźnia zmieniłoby się całkowicie; aż pewnego dnia Bonnat ujrzał pędzącego ku niemu przyjaciela. Już sama promieniąca twarz jego świadczyła, że był pośłem jakiejś pomyślnej wieści, i tak też było. Nazajutrz około godziny trzeciej popołudniu zjawili się w obozie trzech przybocznych sług króla, żądając w jego imieniu wydania więźnia. Bonnat udał się za nimi i w towarzystwie przyjaciela swego, księcia Ansach, wszedł do stolicy, gdzie zatrzymać się musiał wraz z otoczeniem swoim na placu Dade-So-Aba w południowej części miasta, czekając, aż zostanie wezwany

przed oblicze królewskie. Przyniesiono mu przecież jadła, wina palmowego, a następnie usłyszał głośny dźwięk rogu z kości słoniowej, w który dał niewolnik. W ten sposób oznajmianem bywa ludowi, iż król wyruszył z rezydencji swojej i zamierza ukazać się publicznie; rozkazano też Bonnat'owi, aby szedł, gdzie mu wskażą, i zaprowadzono go na plac bardzo obszerny, leżący już w samym środku miasta. Tam ujrzał na szczycie okrągłego tarasu z czerwonej ziemi króla siedzącego w towarzystwie matki swej i licznej świty, i w oryginalnem otoczeniu karłów, oraz garbusów. Dwór cały umieścił się na trzech stopniach tarasu, po których wstępował król, by zasiąść na tronie.

Zaledwie król ze swą switą zajął swe miejsce, zaczęli przybywać dostojnicy państwa, każdy z orszakami wojowników, doboszów, straży z mieczami w ręku, służby, niosącej parasole, składane taborety, końskie buńczuki, ogony słoni, i każdy według stopnia swej godności i urzędu, stawał po prawej lub lewej stronie tarasu, przez co zakreślały się dwie linie w kształcie półksiężyca. W środku znajdowali się dygnitarze niższego rzędu ze swemi orszakami.

Król siedział na tronie misternie rzeźbionym i wykładanym złotem; nogi miał oparte na aksamitnej purpurowej poduszce; strojem jego był szal z jedwabnego adamaszku, krajowego wyrobu, w który owijał się z powagą. Obuwie miał z czerwonej skóry ze szczyrzołotem, ciężkimi ozdobami, na głowie wysoką, czarną czapkę ze skóry antylopy, przyozdobioną złotem i srebrem, a zakończoną na wierzchu pękiem złotych piór. Nogi i ręce do ramion niemal zdobiły koła złote, wytwornej prawie roboty.

Po długich ceremoniach, wśród których bogactwo afrykańskiego monarchy zdawało się być rozwinięte dla olśnienia oczów więźnia, król kazał się zbliżyć Bonnatowi i usiąść na krześle zwanem *dienyenmosso*, poczem podano mu szczerolotą czarę, napelnioną winem palmowem. Gdy je wypił, cały dwór przedelfował przed jeńcem zaszczycyconym przyjaźnią króla, wszyscy go pozdrowiali i zaczęły się uroczyste igryzyska i zabawy na cześć jego. Z nadejściem nocy zaprowadzono Bonnat'a do przygotowanego dlań domu, gdzie już oczekiwało na jego rozkazy sześciu niewolników — dar królewski, i od tej chwili położenie jeńca zmieniło się zupełnie. Już teraz pragnął tylko wolności i brakowało mu jej też jedynie, aby mógł powrócić na Złote Wybrzeże. Jak dawniej Józef w niewoli egipskich Faraonów, Bonnat stał się przyjaciелеm i dowódcą króla, który go obsypywał dobrodziejstwami, ale niemniej otoczył go czujną strażą, tem baczniej go pilnując, im wyżej oceniał przymioty swego jeńca.

Trwało to aż do wojny Anglii z Aszantyami; zwyciężkie wojska Białych wkroczyły do Kumassi i zburzyły miasto niemal do gruntu. W ten sposób Bonnat po pięcioletniej niewoli u Aszantyów dostawszy się teraz w moc zwycięzców, odzyskał nareszcie wolność.

Powróciwszy do Francji, odważny podróżnik nie przestał przecież marzyć o powrocie na Złote Wybrzeże, w celu eksploatacji różnorodnych skarbów, które spotykają się tam na każdym kroku. Po daremnych usiłowaniach wynalezienia francuzkiego kapitalisty, któryby chciał połączyć swe pieniądze z jego doświadczeniem, zwrócił się wreszcie do kapitalistów angielskich, którzy przyjęli jego propozycję, zawiązując z nim spółkę, i Bonnat puścił się na koniec z powrotem do Afryki.

W czasie niewoli słyszał on często o wielkiem mieście położonem na północy-zachód, a uważanem przez Aszantyów, za główny rynek handlu afrykańskiego. Dostanie się do tego miasta stało się celem usiłowań Bonnat'a; na to przecież trzeba było mieć pozwolenie króla Aszantyów, pod jego bowiem władzą znajdowało się miasto owo. Wprawdzie powrót do Kumassi, z kąd dostał się za pośrednictwem angielskim, przedstawiał się jako rzecz nader ryzykowna, bo kto wie: jak go tam przyjmą teraz król i mieszkańcy? Bonnat jednak nie wahał się długo, i śmiałość jego okazała się szczęśliwą. Król przyjął

go z otwartymi ramionami, a w dni kilka był już Francuzem jednym z największych dostojników murzyńskiego dworu.

W tym samym czasie jedna z olbrzymich prowincji, Dzuabin, hołdująca dotąd królowi Aszantyów podniosła rokosz. Król polecił Bonnatowi udać się do zbuntowanego kacyka i, jeżeli się da, nawrócić go na drogę uległego posłuszeństwa; a Bonnat chętnie podjął się tego poselstwa, bo pokój był mu pożądanym, a nawet koniecznym dla własnych jego planów podróżniczych. Ale władca zbuntowanej prowincji źle przyjął poselstwo, a tem więcej, że zżymał się na przyjaźń, jaką król Aszantyów darzył białego człowieka.

— Nie dozwolę ci nigdy przejść przez moje państwo — powtórzył mu kilkakrotnie — i chociażbyś miał nawet czterdziestu ludzi na swoją obronę, zetnę ci głowę.

Bonnat powrócił do Kumassi i zdał królowi sprawę z tego, co słyszał, a król radził mu zaniechanie zamiaru. Podróżnik francuzki postanowił przecież nie cofać się w zamiarach swoich. Król dał mu pięćdziesięciu wojowników, jako straż i zarazem tagarzy: wyruszył więc wkrótce w drogę. Po przebyciu wielu miast Aszanty stanął wreszcie w Atebobu, stolicy państwa sprzymierzonego ze zbuntowaną krainą, gdzie wypadł mu nocleg. Zaledwie jednak usnął, Murzyn, którego postawił na straż, wpadł do chaty z okrzykiem: Zdrada!... a Bonnat nie zdążył jeszcze usiąść na macie swego posłania, gdy już został skrepowany. Skoro go wyprowadzono z chaty, ujrzał wszystkich swych wojowników powiązanych i dowiedział się zarazem, iż dostał się w moc stu pięćdziesięciu Murzynów zbuntowanego kacyka, którzy mieli rozkaz dostawienia go do stolicy Dzuabinu.

Wszędzie po drodze słyszał złowrogie wrzaski i pewnym był, że przyjaźń króla Aszantyów stała się teraz dlań smutnem niebezpieczeństwem, a to tem więcej, że kacyk, przed którego stawionym został, uragał mu teraz właśnie z powodu tej przyjaźni. Natychmiast zwołano wodzów murzyńskich, mających wyrokować o losie więźnia. Dość było ujrzeć okrutny wyraz ich twarzy, aby wiedzieć, że litość nie mieszkała w ich sercach. Bonnat przecież, krzepiąc się na duchu, nie chciał ucieszyć czarnych rozbójników widokiem swej trwogi i pozornie udawał, że się nie obawia niczego.

Kacyk tymczasem chciał mu dowiedzieć, że powód do obawy istniał, i przemówił surowo, jak wielce niebezpieczną rzeczą byłoby dla państwa Dzuabinu pozostawić żywym człowieka, będącego niezawodnie szpiegiem Białych, a zarazem i tyrana, przeciwko któremu powstano; na co Bonnat odpowiedział dumnie, że nie on-to lękać się może, ale ci, co go przesładują, bo dość jest jednego włosa z jego głowy, aby zapanował dokoła mord i pożoga, aby miasto Dzuabin zostało obrócone w gruzy, a śmiałość ta, która w Europie kazałaby uważać go za szaleńca, na zabobonnych dzikich wywarła silne wrażenie. Jeden z główniejszych wodzów podniósł się, aby zabrać głos ostrzegający przed niebezpieczeństwem; gwałt, mówił, wielkie nieszczęście spowodzić może, bo istniała przecież przepowiednia, iż dzień, w którym w Aszanty lub podległych jej prowincjach człowiek biały podstępnie ujęty zginie gwałtowną śmiercią, wszystkie plemiona Murzynów zostaną wytępione. „Co do mnie, zakończył, opieram się stanowczo wyrządzeniu jakiegokolwiek krzywdy temu człowiekowi i żądam tylko, aby go odprowadzono do wybrzeża.

Wielki kapłan, chcąc zapewne ujawnić swą przewagę nad wojownikami, poparł to zdanie, i Bonnat'a pod silną strażą odstawiono na terytorium angielskie.

Zatem naszemu podróżnikowi pozostała do Salagi droga przez wielką rzekę Wolę, nad której właśnie brzegiem leży to miasto. Żaden podróżnik nie śmiał przed Bonnatem próbować tego sposobu, lecz śmiały Francuz na nic nie zważał, i pomimo tysiąca niebezpieczeństw, dzięki swej roztropności, rozumowi i energii, dobił do celu. Jemu nauka zawdzięcza dokładną wiadomość geograficznego położenia Salagi i całą ważność tego miasta jako głównego rynku handlowego

śrdkowej Afryki, nieustępującą w nieczem ważności miasta Tombuktu. Jego wytrwałość pozwoliła Francji najpierwszej w Europie zapisać złotymi głoskami miasto Salaga i rzekę Wolte w księdze odkryć geograficznych.

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Wiek gwiazd. — Wymiana gazów u roślin. — Latarnia bezpieczeństwa. — Rozwój płazów beznogich. — Nowy elektroskop. — Instytut Pasteur'a. — Sztuczne góry.

Przed niedawnym czasem, na dorocznym posiedzeniu Akademii Paryżkiej, znakomity astronom Jaussen miał odczyt o wieku gwiazd. Twierdzi on, że gwiazdy, podobnie, jak ziemia, ze stanu ognistego, w którym się znajdowały przed wiekami, ochładzają się bezustannie, i temsamem tracą siłę świecenia, którą zbadać można za pośrednictwem spektroskopu i temsamem ocenić wiek gwiazdy. Spektroskop poucza nas nie tylko o chemicznym składzie ciał niebieskich, ale także o ich temperaturze. Gdyby ciało było tylko rozgrzanem, a nie gorzącem, wówczas spektroskop wykazałby ten stan przez brak promieni świecących, zawierałby bowiem tylko ciemne (ultra-czerwone) kolory. Z chwilą jednakże, gdy mamy do czynienia z ciałem jarzącem, pokazują się promienie świecące i fotograficzne i im ciało jest bardziej jarzącem, tem wyraźniej w widmie (spectrum) występują kolory fioletowe. Ciało niebieskie tedy, obfitujące w widmie w kolory fioletowe, jest w wysokiej temperaturze.

Takich gwiazd w przestworach niebieskich, jest wielka ilość; są to te, których światło dochodzi do nas jako białe lub niebieskawe. Najbardziej świecącym między niemi, jest Sirius, którego średnica przewyższa słoneczną jakieś sześć razy, a pod względem siły światła nie może mu dorównać żadna z gwiazd. Jak wykazuje jego widmo spektralne, otoczony on jest potężną atmosferą wodoru. Obecność metalów na nim, o których istnieniu powątpiewać nie można, trudną jest do udowodnienia, właśnie skutkiem otaczającej go atmosfery, która zasłania wszelkie inne promienie w widmie spektralnym. Zachowanie się jego względem spektroskopu pozwala twierdzić, że jest słońcem w pełnej sile swego działania, które niesłychanie wielki przeciąg czasu będzie funkcjonowało. W podobnym stanie znajduje się gwiazda Vega w konstelacji Liry a obok nich postawić należy większą część gwiazd widzialnych bez pomocy teleskopu.

W gwiazdach drugorzędnych wykazuje widmo już posunięte zgęszczenie się ich materii w miejsce atmosfery złożonej z czystego wodoru, są tam ślady par metalicznych, które już i w atmosferze słonecznej dają się ocenić; wiele z gwiazd, jeżeli tak się wyrazić wolno, już przekroczyło swą młodość. Nie mają już one tego blasku, tego białego światła, charakteryzującego gwiazdy klasy pierwszej, niektóre z nich przybrały kolor żółtawy lub pomarańczowy. Prócz słońca należą do tej klasy: Aldebaran, stanowiący oko w konstelacji Byka; Arcturus w konstelacji Wolarza, znajdujący się w pobliżu ogona Wielkiej Niedźwiedzicy i inne. Można oznaczyć gwiazdy, które w swym rozwoju dalej jeszcze postąpiły, a które w widmie odznaczają się niewątpliwym ochłodzeniem. Koloru fioletowego, tego znaku wysokiej temperatury, braknie w ich widmie w zupełności prawie. Jednocześnie występują promienie o ciemnych kolorach, wykazujące zbitą i kompletną atmosferę. W widmie ich spostrzegamy kolory ciemno-pomarańczowe, przechodzące chwilami w ciemno-czerwone. Należy tu gwiazda znajdująca się w lewym górnym kącie Oriona.

* * *

Wymiana gazów, czyli oddychanie u roślin stanowi jeszcze ciągle sporną kwestyą w świecie

naukowym. Zajmują się nią wszyscy naturaliści, pomimo to ostatniego słowa w tym względzie nie wyrzeczono, lecz skutkiem właśnie tego, zdobywamy nowe odkrycia z dniem każdym.

Uczni rozdzielili się na dwa obozy: jeden, którego głównym przedstawicielem jest Pfeffer, a za którym dąży większość przedstawicieli nauki, utrzymują, że proces życia roślin nierozdzielnie złączony jest z ich plazmą i ustaje z chwilą, gdy ta zniszczoną zostanie. Drudzy zaś, z Reinekiem na czele, dowodzą, że oddychanie odbywać się może we wnętrzu samej rośliny, a więc bez udziału plazmy, i, że zniszczenie jej w znacznej ilości, według niego i Bernsteina, nie staje bynajmniej na przeszkodzie wytwarzaniu się kwasu węglanego, niezbędnego dla życia roślin.

* * *

P. Albert Friedländer zbudował lampę bezpieczeństwa, która odda niezaprzeczone usługi w górnictwie. Skutkiem wydobywających się z głębi ziemi gazów, powstają, jak wiadomo, często bardzo wybuchy, kosztujące życie setek robotników pracujących w podziemiach.

Lampka Friedländera jest elektryczną. Kilka małych stosów elektrycznych umieszczonych jest w niewielkiej skrzynce drewnianej od której odchodzi rączka do trzymania latarki. Węgiel przeznaczony do rozżarzania umieszczony jest w bańce szklanej, do której powietrze otaczające nie ma przystępu, i to właśnie stanowi bezpieczeństwo od zapalenia się otaczających gazów wybuchowych. Rączka wyżej wspomniana jest zarazem tak urządzoną, że za pomocą jej kręcenia wpławia się w zagłębienie w kwas chromny i siarczany blaszki cynkowej, skutkiem czego następuje wyrabianie się elektryczności i węgiel podlega żarzeniu; zakręcając w odwrotnym kierunku, cynk się wynurza i lampka przestaje funkcjonować. Jest ona również regulatorem natężenia siły światła. Siła światła lampki Friedländera równa się od 2 do 4 wielkich świec stearynowych i wydzielą światło od 2 do 2½ godzin, poczem należy płyn zmienić. Na czas dłuższy latarnia ta nie jest przydatną, lecz służy tylko na wypadek przewidywanego niebezpieczeństwa. Doskonale także może być zastosowaną i w pokojach, gdzie w każdej chwili może się okazać niezbędnym światło np. przy chorych, a których pocieranie zapalki może zbudzić. Po każdym użyciu należy rączkę wykręcić, temsamem wyjąć cynk z kwasu — w przeciwnym bowiem razie szybko się zużywa. Zarówno cynk jak i kwas należy od czasu do czasu odmieniać, co stanowi bardzo nieznaczny koszt.

* * *

Co do rozwoju płazów beznogich, nad którymi Jan Müller czynił obserwacje i doszedł do wniosku, że rozmnażają się za pośrednictwem składania jajek w wodzie, w której uczony ten znalazł kijanki z rodzaju „Ichthyophis glutinosus” z otworami skrzelowymi po bokach głowy, — w ostatnich dopiero czasach P. i F. Sarasinowie, zdołali bliżej poznać rozwój pozarodkowy tego płazu. Zwierzę to mieszka na wyspie Ceylon na gorącym płasko-wzgórzu wznoszącem się na 1,500 stóp nad powierzchnią morza; jest beznogiem, posiada około 30 cm. długości. Oczy ma zarodkowe, niezdatne do widzenia. Powierzchnia ciała pokryta lepkim płynem, będącym wydzieliną licznych gruczołów skórnych a ułatwiającym ruch zwierzęciu. Śluz ten posiada własności trujące, jak wydzieliny skórne wielu zwierząt ziemno-wodnych. Panowie Sarasinowie pokonali rzeczywiście niezwykle trudności przy badaniu rozwoju tego płazu.

Kierując się wskazówkami podanymi przez Jana Müllera, według których samica *Ichthyophis* ma składać jaja do wody, przeszukali pilnie wszystkie wody, i znajdowali w nich larwy tego zwierzęcia, lecz jajek nigdzie napotkać im się nie udawało. Po długich mozolach, gdy mieli już swą pracę poczytać za niewykonalną, wskazano im kupkę jajek w ziemi, w których poznali jajka

Ichthyophis'a. Od tej pory, ze zdwojoną energią zajęli się badaniem. Oto jego rezultat: samica składa jaja w dołach, wykopanych w ziemi, w bliskości wód, a czyni to w symetryczne dwa rzędy od 13—14 sztuk. Jajka są z sobą połączone za pomocą lepkiej i ciąglej powłoki, tworzą kłębek, którego spójność zależną jest od lepkości powłok. Jajka tak złożone, są owalne i mają 9 mm. długości a 3 szerokości. Prawdopodobnie odżywiają się one na drodze osmozy wydzielinami z ciała matki, wykształcony bowiem embryon jest kilka razy cięższym od znieśionego świeżo jajka, a samica po wylęgnięciu jajek okazuje się nadzwyczaj wycieńczoną.

Gdy zarodek w jajku dojdzie do 4 cm. długości, przedstawia się jako bardzo ładne stworzenie o jednostajnej, ciemno-szarej barwie, z trzema parami pierzastych skrzydeł nader delikatnych, koloru krwi, położonych na szyi, po jej bokach. Są to skrzela; koniec zaś ciała posiada rodzaj pletwy, zaopatrzonej w stożkowate wyrostki, które stanowią fakt doniosły z punktu widzenia teorii Darwina, gdyż są to szczątki tylnych kończyn, których u dorosłego płazu nie dostrzegamy ani śladu.

Gdy embryon dochodzi długości 7 cm., całe żółtko jest wówczas strawionem, skrzela ulegają pewnej zmianie, młody *Ichthyophis* wylega się z jajka: i rozpoczyna wędrówkę z dołka, w którym dotąd przebywał, do wody, którą ma nadal zamieszkać. W ciągu tej wędrówki traci skrzela, na których miejscu pozostają tylko otwory, a po części blizny po bokach szyi. W wodzie żyje prawdopodobnie bardzo długo, gdyż po opuszczeniu dołka zwykle larwa posiada 7—8 cm., długość w wodzie zaś dochodzi do 13 cm. Wówczas zarastają otwory skrzelowe całkowicie, fałda pletwowa na końcu ogona również znika, jak i ślady tylnych kończyn. Oczy tych płazów nie rozwijają się prawie wcale, pozostając w stanie zaczątkowym. Wyrastają zato wąsiki czyli t. z. czułki, skóra przedstawia się o zupełnie innym zabarwieniu i innej budowie i z larwy wodnej zamienia się *Ichthyophis* na zwierzę lądowe, przyczem prowadzi życie podziemne, różniące się tak znacznie od pierwotnego, że wykształcony płaz nawet jednej doby w wodzie przeżyć nie zdoła.

* * *

Pan M. Żórawski za pośrednictwem „Wszechświata” ogłasza, iż wynalazł nowy i bardzo prosty elektroskop. Zauważył on, że błonka sucha kolloidum, potarta np. przez pocieranie między palcami, elektryzuje się ujemnie, skutkiem czego ulega przyciąganiu przez przedmioty naelektryzowane dodatnio lub obojętne, a odpychana jest przez przedmioty naelektryzowane ujemnie. (Wiadomo bowiem, że płyny jednoimienne odpychają się, a różnoimienne przyciągają). Błonka taka stanowi zatem bardzo tani i prosty elektroskop, który może być z korzyścią stosowanym w fizyce. Ażeby otrzymać wspomnianą błonkę, dosyć jest wylać kolloidum na tafelkę szklaną i pozostawić do wyschnięcia. Ze szkła cienka błona łatwo się zdejmuje, następnie tnie się na wąskie paski, z których każdy stanowi gotowy do użycia elektroskop. Należy ją przechowywać w ciemnym miejscu. P. Żórawski sądzi, że zrobione przez niego odkrycie nie powinno być obojętnem dla zajmujących się fizyką.

* * *

W niedługim już czasie wzniesioną zostanie świątynia, jeżeli tak nazwać można instytucyą naukową, dla nowej nauki, jaką jest bakteriologia. Instytucja ta stanie pod gołdem znakomitego uczonego francuskiego Pasteur'a, nosić bowiem będzie miano: Instytut pasteurowski. Znakomity ten mąż, jak wiadomo, pierwszy zaczął robić doświadczenia nad szczepieniem ochraniającego i leczniczego jadu wścieklizny. Liczba wyleczeń od strasznej choroby, która dotąd uważana była za nieuleczalną i kończyła się najstraszniejszą śmiercią, jaką sobie tylko wyobrazić można, liczy się więcej, niż na dziesiątki,

prawie na setki. Ludzie z całego świata podążają by uniknąć niechybnej śmierci, jaką sprowadza ukąszenie zwierzęcia dotkniętego wścieklizną.

Ofiarność publiczna złożyła na ten cel przeszło dwa miliony franków. Niezbędna wysokość funduszu uzupełniona została zapisem testamentowym p. Boucicaut, właścicielki wielkich magazynów paryzkich „Au bon marché“, która cały swój kilkudziesięcio-milionowy majątek przekazała na cele dobroczynne, a z nich 250 000 franków przypadło na Instytut Pasteur'a. Tym sposobem budowa instytutu postępuje nadzwyczaj szybko. Z ogólnej summy 2 milionów jeden przeznaczono na budowę gmachu, zakupienie potrzebnych utensyliów i narzędzi, procent zaś z drugiego na utrzymanie instytucji. Zakład zbudowany będzie systematem pawilonowym i zajmować ma przestrzeń około 10.000 metrów kwadrat. Instytut pasteurowski nie będzie miał pomieszczenia na szpital, nie będzie to bowiem, jak wielu mylnie sądzi, zakład leczniczy, lecz szkoła bakteriologiczna. Pojedyncze w nim pawilony zawierają będą w sobie stajnie, kurniki, klatki na króliki i inne zwierzęta, psiarie i t. p. Zadaniem tej instytucji, prócz badań nad wścieklizną, mają być studia nad chorobami zaraźliwymi wszelkiego rodzaju. A więc składać się będzie z czterech głównych oddziałów: a) szczepienie wścieklizny; b) szczepienie wszelkich innych zarazków; c) bakteriologia ogólna, poświęcona badaniom naukowym odnośnie do poszukiwania zarazków chorobotwórczych i d) bakteriologia stosowana.

Wszyscy pracownicy, ze swym mistrzem na czele, przyjęli za godło bezinteresowność i wypełniać będą swe funkcyje bez żadnego wynagrodzenia.

Nie podlega wątpliwości, że specjaliści z całego świata podążają tam, by przyswoić sobie jedną z nauk, której korzyści dla cierpiącej ludzkości okazały się doniosłymi.

Instytut Pasteur'a jest jednym z najpiękniejszych pomników, jakie geniusz ludzki, w połączeniu z dobroczynnością publiczną wznosił w biejącym stuleciu.

* * *

Dr. Büttner wymyślił aparat, który ma w zupełności zastąpić... góry. Skutkiem tego Niemcy nie będą już potrzebowali wyjeżdżać za granicę i wyrzucać tam na górskie przechadzki swych pięknych talarów, a przyjemności wdzierania się na wysokie góry będą mogli używać u siebie w domu, na najgładszych płaszczyznach. Aparat ten składa się z dwóch obok siebie leżących stopni schodowych, funkcjonujących w ten sposób, że gdy się wchodzi na niższy, to się podnosi wyższy. Machina odpowiednio zastosowana pozwala regulować szybkość podnoszenia się stopni i nawet robić górę mniej lub więcej stromą. Aparat ten przedstawia tę wyższość nad górami naturalnymi, że nie potrzeba schodzić, co jak wiadomo, często bywa prawdziwie niebezpiecznym. Aparat ten jest głównie przeznaczony dla osób cierpiących na zbytnią otyłość. Sądzimy, że jedynie w tych razach może być przydatnym, boć chyba D-rowi Büttnerowi nie przyjdzie ochota sprowadzać ze Szwajcaryi lub z Salzkammergut górskiego powietrza dla swych pacjentów—piwmanów o zbyt wybujałej tkance tłuszczowej?...

J. S.

Kronika działalności kobiecej.

— *Korespondent Płocki* donosi o założeniu w Kuczborku biblioteki za składowe pieniądze pańien tamtejszych, czyniąc wzmiankę, że znajdować się tam mają, nietylko utwory literatury pięknej, ale i poważne dzieła treści naukowej. Życzę-

by tylko należało, aby szlachetne to grono młode znalazło sobie jakiegoś rozumnego przewodnika—doradcę i sprowadzało do biblioteki swojej dzieła z kierunkiem pożądanym dla ich rozwoju umysłowego

— Lwowska Rada Szkolna zażądała od magistratu miasta Krakowa, aby w pięciu szkołach miejskich dla dziewcząt zaprowadził naukę robót kobiecych.

— Prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej, Carnot, zwiedzając dwa wielkie zakłady miłosierdzia w Paryżu: La Salpêtrière, dom kobiet obłąkanych, i szpital Val de Grace, zostający pod kierunkiem Sióstr Miłosierdzia S-go Wincentego a Paulo, tak się uczuł wzruszony poświęceniem i pracą miłosierdną pań przełożonych, że zaraz na miejscu udzielił krzyż Legii Honorowej pannie Nicolle, za trzydzieści pięć lat ciężkiej pracy nad idiotkami, i pani de Moissac, przełożonej Sióstr Miłosierdzia w szpitalu Val de Grace. P. Nicolle należy do wyższej sfery towarzystwa, przeciwko okolicznościom życia zmuszona, weszła kiedyś do Salpêtrière, jako prosta posługaczka, i wyniosła się na dziś zajmowane stanowisko siłą zasługi i tą wyższością umysłu osoby wykształconej, która jej pomagała w ciężkiej i przykrej pracy. Już od lat paru była ona przedstawianą do krzyża Legii Honorowej i byłaby go otrzymała niewątpliwie w biegu czasu, przecież, gdy Carnot, odpisawszy go od własnej piersi, jej go przypiął, zemdląca ze wzruszenia. Gdy zwiedzał z kolei szpital Val de Grace i chciał również okazać swoje wysokie uznanie przełożonej, już musiał się zapożyczyć u miejscowego lekarza, Dr. Badour, który, jako kawaler Legii Honorowej, miał go na sobie, przyjmując Prezydenta. Carnot też własną ręką przypiął tę najwyższą we Francji oznakę uznania Sióstrze Przełożonej.

— W siódmym okręgu Paryża została otwarta subskrypcja na pomnik dla zmarłej filantropki Boucicaut. Ma to być jej posąg wzniesiony na placu Velpeau. Miasteczko Bellême, bogato obdarzone przez jej ostatnią wolę, postanowiło również uczcić jej pamięć pomnikiem, nazywając plac, na którym stanie, jej nazwiskiem.

— Juliuszowa Favre napisała i wydała książkę: „La Morale de Stoiciens“, której przepowiadają w przyszłości nagrodę cnoty, udzielaną przez Akademię.

— Żona Floqueta zajmuje się bardzo żywo paryzkimi szkołami technicznymi dla dziewcząt, oraz domem Schronienia służących, lecz główną jej działalnością dobroczynną jest zajęcie się losem kobiet i dziewcząt alzackich. Pod jej osobistą i bardzo troskliwą opieką zostaje dom schronienia i kantor stręczenia służb, w którym dziewczęta alzackie, przybywające do Paryża lub w Paryżu zamieszkałe, dostają najpierw potrzebny przytułek, a potem umieszczenie i pracę, odpowiadającą ich uzdolnieniu. Jest to patriotyczna praca tej pani, której zasadą jest, że kobieta, zupełnie taksamo, jak mężczyzna, ma swoje obywatelskie obowiązki, choć na innym polu działania, i że każda powinna w jakikolwiek sposób wywiązywać się z tego zadania.

— M-me Furtado Heine, ozdobiona krzyżem Legii Honorowej za milionowy dar uczyniony Paryżowi przez założenie dobroczynnej lecznicy dziecięcej, gdzie każde dziecko bez wyróżniających danych, otrzymuje bezpłatnie poradę lekarską, lekarstwo, a nawet w razie potrzeby zostaje przyjęte do szpitala dziecięcego, założyła na wybrzeżu morskim w pobliżu Guerande szpital dla dzieci skrofolicznych.

— Nowy szpital dziecięcy wzniesiony został w Paryżu, przy ulicy Bagnolet, także dobroczynną ręką kobiety, baronowej Alqui.

— Z chwilą, gdy rząd francuski cofnął zakaz przyjmowania do kas oszczędności wkładów, czynionych przez mężatkę bez pozwolenia męża, liczba kobiet, korzystających z dobroczynnej tej instytucji zwiększyła się bardzo znacznie. Na 16,000 kobiet, które w miesiącu ubiegłym wniosły do Paryzkich kas oszczędności grosz, na przyszłość odłożony, tylko 4,000 miało na to pozwolenie męża.

— Królowa Wiktorya otrzymała memoriał

podpisany przez 1,132,608 kobiet angielskich, proszących o prawo zamykania w niedzielę szynków, karczem, kawiarni i tym podobnych miejsc publicznych, a to ze względu na rozszerzone pijaństwo mężczyzn z klas robotniczych, którzy korzystając ze swobody, jaką im daje Niedziela, przepiją nierzadko znaczną część tygodniowego zarobku. Narada, odbyta przez królową z przyzwanymi w tym celu mężami zaufania nie wypadła po myśli proszących. Prawo, którego żądają, obowiązuje oddawien dawna w Szkocji, Wallii i Irlandyi, nie przynosząc przecież pożądanego pod tym względem rezultatów, bo istnieje tam i istnieć będzie wszędzie dość skrytych jaskiń pijaństwa, które zawsze odnajdzie sobie ten, kto upić się pragnie.

— Lady Burdett-Coutts i kilka szlachetnych filantropiek angielskich powzięło zacną myśl założenia w Londynie i innych miastach angielskich szwalni publicznych, gdzieby za małą opłatą, lub wrzecie ubóstwa darmo, mogły przybywać kobiety z ludu i używać maszyn do szycia, które aż dotąd są dla nich ze swoją dobroczynną ulgą w pracy z powodu ceny niedostępne. A przecież szwaczki ubogie, żony robotników fabrycznych, żony rzemieślników—matki rodzin często licznych, najwięcej może potrzebują, aby dobrodziejstwo maszyn umniejszyło im ciężkiego muzułu ręcznego szycia i pozwoliło zyskać ten czas, który ręczna praca igłą zabiera. Jest też to czyn filantropii, tak dobrze tak pocziwie pomysły, że powinien być wszędzie naśladowany — daj to Boże u nas!

— Angielski zarząd oświecenia publicznego ustanowił dla ochron, szkółek elementarnych i wogóle szkół ludowych wizytatorki, których obowiązkiem jest czuwać nad dziećmi, każda swego okręgu, od lat trzech do czternastu. Każda taka wizytatorka powinna listę wszystkich dzieci tego wieku w okręgu swoim sporządzić, rozgatkowując je według szkół, do których uczęszczają,—następnie poznać stan rodziców, ich zamożność, zajęcie profesyjne, dalej stosunki domowe, i w każdej ze szkół wyżej wymienionych być raz w tydzień, dla powiadomienia się, czy dzieci uczęszczają regularnie do szkoły i jakim jest ich postępowanie, ich obyczaje. Na zasadzie danych, jakie posiada szkoła i wizytatorka, formują się cenzury dzieci i wykonywa karność nad niemi, udziela się potrzebna opieka, co wszystko razem działa bardzo zbawiennie i podnosi poziom moralności ludowej. Każda taka wizytatorka ma pod sobą nigdy niemniej, niż 3,000 dzieci, chłopców i dziewcząt; praca jej jest niemała, a pensja na taki trud wcale nie wysoka, bo od 50 do 85 funtów rocznie. Czasem wizytatorka taka stawać musi w sądach, gdy interes dziecka wymaga obrony państwowej, wtedy wizytatorka występuje jako strona skarżąca.

— W zeszłym miesiącu bieżącego roku umarła Elżbieta Garfield, matka zacnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który poległ z ręki nędznego zbrodniarza, Guiteau, z przyczyny, że był uczciwym, nieprzedajnym mężem stanu, a historia zmarłej potwierdza uznaną prawdę, że prawie każdy wyższy człowiek miał szlachetną matkę. Elżbieta Garfield została w młodym wieku wdową z czworgiem małych dzieci, a całe mienie rodziny stanowił mały folwarczek, położony w nieurodzajnej glebie Nowej Anglii, na którym pracować musiała tak ciężko, że sama orała nie mając za co trzymać parobka, ani brać najemnika. Gdy nauka dzieci przyszła zwiększać wydatki, ona musiała powiększyć pracę, a nie mogąc już nic więcej wydostać z ziemi, zabrała się do wyrobu płótna i przędła lub pracowała przy krosnach zwykłe wtedy już, gdy wszyscy domownicy spać poszli. Garfield opowiadał potem ludziom, że matka wysłała go do miasta na naukę za grosz, pozyskany ze sprzedaży tak wyrobionego płótna.

Ale i on bardzo młodo zaczął się już wypłacać tej dobrej matce: posyłał jej na wieś część grosza zarabianego przez dawanie lekcyi, a skoro tylko tak ustalił sobie położenie, że mógł stworzyć własne ognisko domowe, wziął ją do siebie. Zostawszy prezydentem, Jakób Garfield sadzał

zawsze przy urzędowych przyjęciach i obiadach w Białym Domu tę matkę wieśniaczkę na honorowym miejscu, po prawej swej ręce i chętnie opowiadał ludziom historię swego dzieciństwa: wspomnienia przeszłości z czasów tych wyniesione. Umierając, Elżbieta Garfield liczyła rok osiemdziesiąty szósty, a dowód to jest, że praca sił żywotnych nie wyczerpuje, nie podkopuje podstawy życia i kto wie, czy przeciwnie nie umacnia jej—nie przedłuża czynnego istnienia przez spokój, który daje i zadowolenie, biorące źródło swe w uczuciu spełnionego obowiązku. Próżniak narazony jest często na braki; w mózgu próżniaka lęgną się różne trapiące go mary, przechodzą nań uwidzenia chorób rozmaitych, pragnienia niezdrowe, spełnienia mieć nie mogące i siły, niewypromienione w pracy, pokutują w nim pod postacią tęsknot, żalów—smutków instynktownych po zmarnowanym życiu!...

— **Badeńskie stowarzyszenie kobiet:** „Badische Frauenverein“, mające na celu popieranie pracy kobiecej i opiekę nad kobietami ubogimi, liczy do zadań swoich opiekę nad ucząciami się dziewczętami klas niezamożnych, nad którymi czuwa po macierzyńsku, aby ich dobre obyczaje nie mogły uciec przez złe przykłady i towarzystwo niestosowne dla młodego wieku; dalej zaopatruje je w książki do nauki i materiały piśmienne, w odzież schludną; stara się, aby mieć mogły jedzenie dostatecznie pożywe. Przytem te, które okazują wyższe zdolności w naukach, lub talentach otrzymują pomoc w celu kształcenia się wyższego. Następnie stowarzyszenie usiłuje zapewnić im w przyszłości pracę odpowiednią, czego dokonywa przez własny swój kantor stręczeń, mający dwa oddziały: stręczenia nauczycielek i bon, oraz drugi stręczenia szwaczek, fryzyerek, służących. Stowarzyszenie posiada obok tego własną szkołę gospodarstwa domowego „Haushaltungsschule“ i dom pań samotnych: „Heim für alleinstehende Damen“, z którym szkoła pozostaje w związku, bo uczennice odbywają tam tygodniowo praktykę gospodarstwa: zajmują się pod kierunkiem intendentki kuchnią, spiżarnią, bywają z nią na targach dla zakupu przedmiotów żywności, doglądają prania i innych tym podobnych zajęć gospodarstwa domowego. Roczny kurs nauki kosztuje 100 marek, zapewne dla przychodnich.

Stowarzyszenie urządziło obok tego w dwóch końcach miasta wykłady nauki gotowania „Kochkurse“, a komitet stowarzyszenia zajął się nauką ręcznych robót kobiecych w ludowych szkołach dziewcząt.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Dla uczczenia pamięci Kraszewskiego** nadesłano z Humania do redakcji „Kuryera Warsz.“ 120 rs., których połowa jest przeznaczona przez ofiarodawców na tablicę pamiątkową w kościele Ś-go Krzyża, połowa na wpisy dla najbiedniejszych uczniów gimnazyów warszawskich, według uznania redakcji.

— **Muzeum przyrodoznawstwa Karpat**, noszące nazwę *Muzeum dra Chałubińskiego* a mieszczące zoologiczne, botaniczne i mineralogiczne zbiory stron tamtych, których bogate zapasy zgromadził już dr Chałubiński, ma być założone

w Zakopanem. Myśl powstała między przyrodnikami i lekarzami warszawskimi.

— **Zakupienie drogą składek** obserwatorium astronomicznego w Płońsku, które założył tam ś. p. Jędrzewicz, zostało zaproponowane przez „Wszechświat“.

— **Warszawska kassa oszczędności** posiada 40,408 uczestników, a 1,844,549 rs. złożonego przez nich kapitału.

— **Konserwatorium muzyczne** w Krakowie, zostało otwartem d. 1 Lutego. Dyrektorem jest Władysław Żeleński, niegdyś dyrektor Towarzystwa Muzycznego w Warszawie.

— **List pasterski arcybiskupa poznańskiego Dindera**, został odczytany z ambon wszystkich kościołów dycezyi tamtejszej: — „Dziecko należy do Boga i rodziców. Na łonie matki odbiera ono pierwsze słowo wiary, a ojciec powagą swoją wiarę tę gruntuje. W szóstym roku dziecko to idzie do szkoły. Rodzice nie mogą się teraz spuścić na szkołę, ponieważ szkoły są symultanne, a nauczyciele po części niekatolicy, zadaniu temu odpowiedzieć nie mogą. Nakłada się przeto obowiązki na rodziców, aby sami dopilnowywali tego obowiązku w wychowaniu dzieci. I wstęp do szkoły jest księżom wzbroniony, lecz i w późniejszym wieku po opuszczeniu szkoły, powinni rodzice tem bardziej czuwać, aby pokonać złości i pokusy tego świata. Zabrania się małżeństw mieszanych. Kościół tylko w ostatecznym razie da zezwolenie, pod warunkiem, że wszystkie dzieci będą wychowane w wierze katolickiej.“ Arcybiskup wydał przytem okólnik, zalecający uczniom klas niższych i średnich, aby mieli w domu pod ręką katechizm dycezalny w języku polskim, aby rodzice ze szczególną starannością krzątali się koło przysposobienia dzieci do pierwszej spowiedzi w języku własnym. Wychodząca w Berlinie „Korrespondencya Katolicka“ okólnik ten podała.

— **Mowa Bismarcka** była telegrafowaną przez całe pół dnia i część nocy na 222 apparatach telegraficznych, a to na 60 apparatach systemu Huguesa, na 155 apparatach systemu Morsego i 7 Etienne'a, przez 250 telegrafistów, specjalnie do tego użytku przeznaczonych. Przesłali oni 1,218 depesz, zawierających razem 194,296 wyrazów. Mowa ta w dosłownem brzmieniu zawiera 10,997 wyrazów; przesłano ją w rozmaitych językach, lecz głównie w niemieckim do 326 ciu miejscowości. Przesyłano ją w całym texcie i w skróceniu; do dzienników węgierskich przesyłano depesze od 2,000 do 4,000 wyrazów; do Anglii przysłano, prócz całej mowy, depesze po 5,000 wyrazów; francuskie dzienniki zadawałniały się depeszami po 2,000 wyrazów. Do nowego Yorku przesłano całą mowę telegrafem podceanowym, a choć Bismarck mówił między drugą a trzecią godziną po południu, cały wyżej wymieniony sztab telegrafistów nie schodził z posterunku do 8-ej godziny rano dnia następnego, bo musiano przyjmować depesze, przesłane Bismarckowi od różnych osób z powinszowaniem. Odpowiedział natychmiast na wszystkie.

— **Francuzka szacherka orderowa** upamiętniła się już w literaturze. Henryk Meilhac napisał komedię: *Décoré*, w której występują na scenę skandale dni ostatnich. Jest napisana żywo i dowcipnie, więc Paryżanie się śmieją — zamiast płakać.

— **Gounod** zapragnął operę swoją „Romeo i Julietta“ grywaną w *Operze komicznej*, wprowadzić na scenę *Wielkiej Opery* i wskutek tego postanowił dać jej inne libretto. W miejsce tragicznej historii włoskich kochanków ma być

podstawiony jakiś dramat z czasów pierwszej rewolucyi francuskiej. Nowe libretto pisze już Armand Silvestre, a dyrektor Wielkiej Opery, Paravey, obiecał wystawić sztukę w tak zmienionych warunkach w roku przyszłym, w czasie wystawy.

— **Na miejsce zmarłych członków Akademii Francuskiej:** Caro, Viel Castel i Cuvillier Fleury, weszli w grono nieśmiertelnych: vice-admirał Jurien de la Gravière, hrabia Othenin d'Haussonville, wnuk M-me de Staël, i Juliusz Claretie.

— **Obraz Millett'a:** „L'Homme à la Houe“ został sprzedany w Bruxelli za 84,000 franków. Nabywcą jest niejaki Van den Eynde. Obraz ten, wystawiony raz pierwszy na dorocznej wystawie paryskiej w r. 1863, został nabyty przez Blanc'a za 1,500 fr. Następnie kupiła go Bruxeńska galeria Defoer za 56 fran.

— **Arcydzieło Ary Scheffer'a:** „Christ au Roseau“ stało się własnością galerii Louvru przez legat jego dotychczasowej posiadaczki, M-lle Huyssen de Katendyke.

— **Pamiętniki Garibaldeggo** wyszły we Florencji nakładem księgarni Barbera. Tytuł jest: „Le mie Memorie“. Rękopism cały jest pisany własną ręką Garibaldeggo i już dziś ludzie ubiegają się o niego, ofiarowując wielkie sumy. Jednocześnie ukazały się w druku przekłady na język angielski, francuski i niemiecki.

— **W Paryskiej Bibliotece Narodowej** odkryto rękopism łacińskiego przekładu *Illady* i *Odysei*, dokonany na żądanie Petrarki i dla niego przez nieznanego z nazwiska Neapolitańczyka, księdza. Rękopism jest opatrzone własnoręcznemi dopiskami Petrarki.

— **W Monte Carlo** na strzeleckiem konkursie mordowania biednych gołębi, pierwszą nagrodę: „Grand Prix du Cassino“ 18,000 franków, otrzymał Anglik Seaton, zwyciężywszy 71 współzawodników. Druga nagroda 7,600 fr. dostała się Belgijczykowi, van Hooibrouck; trzecią 5,600 wziął Anglik znowu, Hall; czwartą: 3,160 fran., margrabia Ridolfi, Włoch. Od czasu ustanowienia konkursu było nagrodzonych: Anglików 9, Włochów 3, Belgijczyków 2, Francuz jeden.

— **Z Algieru** piszą pod datą ostatniego Stycznia, że panują tam silne mrozy. Znalezione zmarłego człowieka w okolicach Zaraila.

— **Produkcya utworów muzycznych w Niemczech** obejmowała w ostatnim kwartale minionego roku 1,700 nowo lub ponownie wydanych utworów; z tej liczby 1,035 przypada na muzykę instrumentową, reszta na wokalną. Jest to więcej o 299 utworów niż w kwartale poprzednim czyli o 20 procent. Utwory na fortepian zyskały w ciągu roku 60 procent.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 16-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Czyż wy myślicie? poezya, przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febronia. — Nowe sztuki dramatyczne. — Kraj Aszantyów, (dokończenie). — Z działu przy-

Dodatek obejmuje: Arkusz 16-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryana Crawford. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opiem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyę stołu

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Доволено Цензурою. — Варшава, 10 Февраля 1888 года